ROZMAITOŚCI.

Dnia 14 listopada, N^er^ 46. roku 1846.

Drzwi w podłodze.

Zamek Glencarthy, leżący w dolinie tegoż samego nazwiska w Szkocyi, miał dziki, posępny widok, przypominający poniekąd dawne średniowiekowe gniazda zbójeckie. Jeszcze wprawdzie tyle z niego się zachowało, iż go nie można było nazwać ruiną, wszelako mieszkanie w nim zdało się bardzo smutne i odrażające. Jakoż już przed sto laty, kiedyto właśnie pora naszéj powieści przypada; była ledwie połowa zamku zamieszkaną; resztę zostawiono na pastwę powolnemu lecz nieuchronnemu zniszczeniu czasu.

Dolina Glenkarthy tworzyła niejako niezmierny wąwóz, zniżający się na półmilową odległość ku wybrzeżom morza atlantyckiego, zkąd przez wązką cieśninę otwierał się widok na ciemo-modrawą płaszczyznę oceanu. Strome, zygzakowate wzgórza, ogradzające po obu stronach ten wąwóz, okryte są prawie zupełnie ziemią jałową, w któréj tylko gdzieniegdzie pojedyńczy kierz paproci szeleszcząc w powiewie wiatru się chwieje. Nigdzie zdroju, a tém mniéj potoku; nigdzie krzewów, a tém mniéj drzew; wszędzie jednostajna, głucha pustka.

W téjto samotnéj dolinie, z północnéj strony, w ostępie i ochronie zewsząd osłaniających wzgórzów, stał, a może jeszcze stoi wspomniony zamek, zbudowany w podłużny czworobok, otoczony wałem i fosą, w któréj woda dawno już wyschła. Środek czworoboku był przecięty poprzeczną budową, zawierającą niegdyś kaplicę i obszerny grobowiec. Jedna wschodowa strona była od od roku 1718 zamieszkaną, trzy inne strony, jakoteż środkowa kaplica z grobowcem, służyły za bezpieczną kryjówkę sowom, szczurom, i jak powszechnie mniemano — duchom nocnym. Cały zamek miał pierwotną barwę ceglastą, a jedyną ozdobę jego stanowiły pasożytne krzewiny powoju, spinające się po omszonych murach, i wysokich oknach gotyckich, których kraty żelazne od wieków pordzewiały, błona ołowiane opadły, a potłuczone w długoletnich burzach szyby, drobnémi tylko szczątkami w promieniach zachodniego słońca świeciły.

Fergus Maccarthy był ostatnim potomkiem starodawnego rodu szkockiego. Ojciec jego, Robert Maccarthy należał do nieszczęsnego sprzysiężenia na rzecz Stuartów, które w roku 1713 zupełną rozsypką ich stronników się zakończyło. Robert, właśnie w tym czasie owdowiały, schronił się z dwojgiem dzieci do Francyi, gdzie wstąpiwszy w służbę wojskową, syna Fergusa do szkoły wojskowéj, a córkę Łucyję, do klasztoru na wychowanie oddał.

W roku 1740 umarł szlachetny wygnaniec, a Fergus, który tymczasem do wojska był przyjętym, wystąpił kapitanem ze służby, odebrał siostrę z klasztoru, i wrócił nazad do Szkocyi, aby znowuż w opuszczonym zamku ojczystym osiąść. Zagospodarowanie się tam obojga młodego rodzeństwa, było nadmiar skromne i ciche. Cała czeladź dworska składała się z jednego strzelca, jednego starego sługi, i dwóch również niemłodych niewiast służących. Fergus rozrywał sobie czas książkami i polowaniem po dalszych nieco lasach i bagnach, i ubitą tamże zwierzyną, dzikiém ptactwem, niemniéj też ułowionémi w sąsiednich wodach rybami, zaopatrywał wraz z strzelcem całą ludność zamkową w zbyt dostateczną żywność.

Bardziéj nudziła się siostra pana zamku, Łucyja, tém przykrzéj tę samotność znosząca, iż wychowana w klasztorze, nawykła była do ciągłego towarzystwa żeńskiego. Dla tego powziął Fergus myśl wyszukania jéj odpowiednéj towarzyszki, i znalazł takową w młodéj ubogiéj, osieroconéj dziewczynie, będącéj nawet daleką krewną rodziny Maccarthów. Berta Davy przebywała podówczas w jednym z sąsiednich dworów, u staréj przyjaciołki swoich rodziców, i przyjęła chętnie wezwanie powinowatych. Była ona znacznie młodszą od Łucyi, ale co do znajomości świata i ludzi, a osobliwie co do wrodzonéj mocy duszy i hardego, odważnego umysłu; należało jéj bezwarunkowe pierwszeństwo przed słabą, lękliwą siostrą Fergusa. Mimo to jednak nie zrażała Berta nikogo tym stanowczym charakterem, lecz będąc oraz uprzejmą, towarzyską, zdolną głębokiego przywiązania; zyskała owszem wkrótce szacunek i przyjaźń swych nowych towarzyszów.

Upłynęło już ze dwa lata od czasu spólnego pożycia wymienionych tu osób. Minął zaś ten przeciąg jednostajnie, bez żadnych zmian ważniejszych, zwyczajnym trybem domowym. Aż wreszcie pod koniec jesieni roku 1744, kapitan, potąd zawsze surowy i małomowny, stał się coraz bardziéj ponury, milczący, a niekiedy nawet widocznie przykrémi myślami zajęty i roztargniony. Mawiał on jeszcze mniéj niż zazwyczaj, nie sypiał, wydalał się na coraz dalsze i dalsze wycieczki myśliwskie, nie bywał czasami po całych dniach w domu, a nikt nie wiedział, kędy natenczas bawił. Toż i wróciwszy siadywał po godzinach u okna, wyglądając zamyślony w okolicę, odpowiadał przewrotnie na zapytania, i zrywał się niekiedy gwałtownie, jakby z ciężkiego snu przebudzony. Łucyja, powszednim zwyczajem kobiecym miała go w podejrzeniu o tajemną miłość, a nawet tak dalece w tym posądzeniu zaciekała się, iż w żarcie nieraz Bercie przymówki o to czyniła. Ta jednak, jakkolwiek tympodobne domysły, pochlebnémi dla jéj niewieściéj próżności być mogły; nie wielce się niémi w duszy cieszyła, o ile że groźna, marsowa, nieudzielająca się osobistość Fergusa, najmniejszego śladu miłości w niéj nie wzbudzała.

Nie mile więc zadziwiło to Bertę, gdy razu jednego wieczorem, po wcześniejszém niż zwykle oddaleniu się Łucyi na spoczynek, Fergus Maccarthy, zostawszy sam na sam z Bertą, w ten sposób do niéj się ozwał.

»*Miss* Berto! Uprzejmość pani dla nas, obopólna przyjaźń, która nas od dłuższego już czasu wiąże, upoważniają mię — ale co mówię — przebacz pani temu wyrazowi — uniewinniają przynajmniéj teraźniejszy krok mój, który zapewne jest zbyt śmiałym i natrętnym, a może nawet nie zupełnie od samolubstwa wolnym.»

Tu kapitan Maccarthy zatrzymał się, wlepiając ostry, przenikliwy wzrok w Bertę, która niespokojnie to w tę, to w owę stronę oglądała się.

»Szlachetna dziewczyno» — rzekł Fergus daléj— „znam ja twoję moc charakteru, twój rozsądek i twoję odwagę. Mniemam nawet, iż jesteś bardziéj niż niejeden mężczyzna zdolną zachować tajemnicę, którą ci kto powierzy; ale właśnie dla tego wątpię, abyś się chciała troszczyć o taką tajemnicę, która ciebie nie obchodzi.»

Nato odetchnęła Berta swobodniéj i odpowiedziała spokojnie i stanowczo: „Tajemnica, która dla ciebie panie jest ważną, i mnie równie obchodzić powinna; byłoby nawet mieją niewdzięcznością, gdybym zaszczytnego dla mnie zaufania twego unikać chciała.»

„A gdybyż to» — rzekł kapitan z smutnym uśmiechem — „niebezpieczna była tajemnica?... Niebezpieczna dla mnie; dla ciebie zaś tylko straszna.» To rzekłszy znów umilkł.

„Pozwól mi pan zapytać» — ozwała się Berta szybko — „czy moja powiadomość téj tajemnicy jest koniecznie potrzebną?»

Kapitan Maccarthy namyślał się przez chwilę, a potém odpowiedział zwolna i stanowczo: „Tak jest; muszę koniecznie mieć tu powiernika w tym zamku. Moja biédna siostra jest zanadto słabą i trwożliwą. Z czeladzi nie śmiém zwierzyć się nikomu; kogo obcego nie mogę pod żadnym warunkiem tutaj wpuszczać. Ty *miss* Berto, jesteś jedyną, i, jeżli masz tyle odwagi... jeżeli chcesz...»

»Jeszcze jedno» — przejęła panna Davy — „jeżli tylko w tém nic przeciw religii i honorowi nie ma....» Dalsze jéj słowa powściągnął zachmurzający się wzrok kapitana, rozgniewanego tém przypuszczeniem; ale zaledwie Berta „Przepraszam pana» wymówić mogła, już kapitan przerwał jéj wszelkie dalsze objaśnienia, i rzekł:

»Jutro wieczorem o tym samym czasie, jeżli potąd swego szlachetnego, heroicznego postanowienia nie zmienisz; będziesz mogła pani sama o prawości mojego kroku sądzić. Tymczasem rozważysz należycie, czy czujesz w sobie odwagę do narażenia się, nie na niebezpieczeństwo, lecz na straszliwość téj tajemnicy.» —

Maccarthy udał się już dawno na spoczynek, gdy Berta ciągle jeszcze nad tą tajemniczą rozmową w domysłach się zaciekała; a ponieważ wszelka domyślność nic tu nie pomogła, przeto będą może czytelnicy nasi nie mało zdziwieni, dowiedziawszy się, iż Berta nazajutrz do powzięcia téj strasznéj tajemnicy, gotową była.

Przez cały dzień jutrzejszy nie dał się widzieć kapitan. Nie było go ani w domu ani na polowaniu. Nikt nie wiedział, gdzie bawi, a tém mniéj, co robi. Nareszcie zjawił się przy wieczerzy, któréj także i Łucyja obecną była. Skoro ze stołu sprzątnięto, a *miss* Maccarthy jak zwykle w towarzystwie Berty, do swego pokoju odejść miała; skinął kapitan na tę ostatnią, i dał znak, że będzie czekał w jadalni, aż póki ona nie wróci. Trwało może z godzinę, zanim Łucyja usnęła, a Berta wróciwszy podług umowy do sali, zastała kapitana ciągle jeszcze nieruchomie na krześle siedzącego, z zakrzyżowanémi na piersiach rękoma, z wlepioném w ziemię spojrzeniem, w głębokiém pogrążonego dumaniu. Zachował on też samą postawę jeszcze chwilę po nadejściu *miss* Davy, a potém rzekł dobitnym, aczkolwiek stłumionym głosem:

„Czy się *miss* już namyśliłaś?»

„Tak jest» — odpowiedziała Berta — »jestem gotowa wysłuchać pańskiéj tajemnicy, i podjąć się wszystkiego, czemu tylko moje słabe siły wydołać mogą.»

»Więc bądź łaskawa udać się za mną» — rzekł Fergus, i powstawszy wziął przygotowaną latarkę w jedną, pęk kluczów w drugą rękę i wyszedł naprzód z sali; Berta postępowała za nim. Szli oboje przez długi ciemny korytarz. Zbliżywszy się do kaplicy, która w głębi korytarza była, zatrzymał się, otworzył z chrzęstem zardzewiałe drzwi zakrystyi, i wszedł z swoją towarzyszką do kaplicy. Było już niedaleko północy, ale miesięczno, cicho i uroczyście. Bladawe światło księżyca wraz z żółtym połyskiem latarki rozsiewały tajemniczą jaśń po świątyni. Zdało się jakby nagrobkowe napisy po ścianach czarodziejsko się poruszały. Sceny zmartwychwstania, ostatecznego sądu, obrazy nieba i piekła, przesuwały się czarownym korowodem przed oczyma nocnych wędrowców. Wreszcie minęli kaplicę i zwrócili się ku niezamieszkanemu zachodowemu skrzydłu. Przeszedłszy dlugi szereg wysokich, pustych, ponurych komnat, dalej część chwastami zarosłego ogrodu; stanęli oboje u stóp wązkich ślimakowych wschodów, wiodących do zachodnio-północnéj wieży zamkowéj. Wyszli więc na górę, i otworzywszy tam nizkie, ciasne drzwiczki; ujrzeli się w obszernéj, sześciokątnéj komnacie.

Maccarthy postawił latarkę w framudze jednego z czterech wązkich okien gotyckich, i zwróciwszy się do swojéj towarzyszki, rzekł:

»Cóż *miss* sądzisz o téj przechadzce? Mogłażbyś ją sama odbyć, w téj właśnie dobie nocnéj co teraz, nie zastraszona ani poświstem wiatru po tych powytłukanych oknach, ani sapaniem sów, podobném do oddechu spiących ludzi, ani trzepotem nietopérzy wokoło twojéj latarki? Nie zlękniesześ się pani swojego własnego długiego cienia, sunącego się przed tobą po ścianach starożytnéj ruiny, jak duch z grobu powstałego olbrzyma? nie zadrzysz na odgłos swych własnych kroków, własnego, z przeciwnéj strony kościoła i tych mrocznych sklepień odzywającego się oddechu..?»

»Jeźli tylko takie mam przebyć niebezpieczeństwa» — odparła śmiała dziewczyna z uśmiechem — »tedy możesz tak być o mnie spokojnym, jakim teraz jesteś, panie kapitanie.»

Fergus rad skinął głową, i znowu wziął latarkę.

„A zatém pozostaje nam jeszcze tylko jedno niebezpieczeństwo» — rzekł kapitan — »lecz dla tak odważnéj i przytomnéj dziewczyny, jak pani, jest ono prawie żadném; gdyż sama właściwa tajemnica nie jest ani z niebezpieczeństwem, ani też z najmniejszą straszliwością połączona... Stoimy tu na sklepieniu, które tę tajemnicę pokrywa... Mamże je otworzyć?»

»Jeźli pan kapitan równe masz zaufanie do mnie, jak ja do pana, tedy ani się pytaj dłużéj.»

»Dobrze, moja szlachetna *miss*!» — zawołał Maccarthy, i poświecił latarką ku kamiennéj posadzce na któréj stali. — »Inne dziewczęta byłyby się zupełnie czego innego na twojém miejscu lękały. Lecz bądź spokojna; miłostki i zalecanki, są mi dziś wcale obojętną rzeczą... Widzisz *miss* ten goźdź stalowy? Zachowaj go sobie dobrze w pamięci, abyś go dokładnie od innych goździ rozeznać mogła!—» Po tych słowach pocisnął kapitan kluczem goźdź okazany, a w téjże chwili odskoczyły drzwiczki w podłodze ukryte. Kapitan przymknął je nazad, a potém kilkokrotnie je otworzył i znowu spuścił. Jest w tém nieco niebezpieczeństwa» — rzekł wreszcie — »bo drzwi te mogą tylko z góry być otworzone, lecz podniosłszy je zupełnie i przychyliwszy ku oknu, można być wcale bezpiecznym... Pójdź teraz *miss* ostrożnie za mną, a trzymaj uważnie w tył głowę, abyś nią o sklepienie nie uderzyła.»

Tak, idąc sam naprzód, a prowadząc Bertę za sobą, zeszli oboje po ciasnych schodach na dół, aż wreszcie w wązkiém sklepieniu stanęli, gdzie nic prócz małéj w żelazo okutéj skrzyni, widać nie było. Postawiwszy latarkę na jednym końcu skrzyni, a sam na drugim usiadłszy, i bynajmniéj na to niezważając, iż młoda ładna dama znużona przed nim stała, zaczął Fergus następne opowiadanie:

„Upłynęło 26 lat od czasu ostatniéj niepomyślnéj rewolucyi w celu przywrócenia prawego szczepu królów szkockich na tron ojczysty. Przyjaciele Stuartów zamierzyli teraz podnieść nowe powstanie w ich sprawie. Karol Edward wylądował już w téj chwili na brzegi Szkocyi. Co do mnie, postanowiłem pójść za przykładem mych ojców, i stanąć z orężem w ręku w obronie słusznéj sprawy. Jutro opuszczam zamek, aby się zaciągnąć pod starodawne królewskie sztandary Szkocyi. Tu» — rzekł wskazując palcem na skrzynię — »schowana jest część naszych zasiłków pieniężnych, poruczonych méj straży, którą ja, moja szlachetna *miss*, na ciebie teraz zdaję.» —

Co powiedziawszy, powstał kapitan Maccarthy, dobył klucza leżącego pod skrzynią, otworzył ją, i oparł wieko o ścianę. W skrzyni było 6 opieczętowanych worków skórzanych.

„Wszystkie one» — ozwał się Fergus dalej — »są napełnione luidorami króla Edwarda. Nie biorę żadnego z nich, lecz każę je odebrać, skoro ich będzie potrzeba; i w tymto celu upraszam cię o współdziałanie. Jeżeli sprawa królewska wsparcia pieniężnego zażąda, przyślę tu zaufanego posłańca, któremu raczysz doręczyć część tego skarbu. Za znak służyć ci będzie, co tu ci powiem: Każdego ranku oglądaj stary jasion, stojący przed oknami twojéj sypialni; gdy czas, o którym tu mówię, nadejdzie, ujrzysz na korze jego krzyż wyrznięty. Jeźli ten krzyż będzie pochylony, miéj mię za umarłego, jeźli zaś prosto stojący, to będzie znakiem, iż żyję; w jednym i drugim razie, wydaj posłannikowi tyle

worków, ile małych dziurek pod krzyżem wyciętych ujrzysz. Postrzegłszy zrana znak umówiony, idź następnej nocy, o 12 godzinie, tąż samą drogą, którędyśmy dziś tu zaszli. Przy wyjściu z kaplicy do ogrodu, napotkasz mężczyznę z lewą ręką na rękojęci oręża, a prawą na piersi założoną. Natenczas zapytasz go: „Zkąd i dokąd?" — a on odpowie ci: „Od Fergusa, do Fergusa." Zaczém zostawisz go na miejscu, wyjmiesz wskazaną liczbę worków, i oddasz mu je. On wyjdzie ogrodem, i już ani słowa mówić ze sobą nie będziecie, Powtórzy się to zapewne pokilkokrotnie, dopóki pieniędzy w skrzyni stanie. Co do samotnéj i tak późnéj nocnéj schadzki z moim wysłańcem, nie będziesz się miała czego obawiać; wyprawię ja tylko takiego, do którego pani równe możesz mieć zaufanie, jak do mnie. — A teraz moja droga *miss*, wróćmy. Jedyną rzeczą, którą ci jeszcze raz przypominam, jest, abyś z drzwiami w podłodze, ostrożną była. Klucz do skrzyni zostanie tutaj; w powrocie pokażę ci, jakim sposobem reszty kluczów masz używać; potém zaś schowaj je starannie w swym kufrze zamknięte.

Skończywszy, wyszedł kapitan po schodach w górę, a za nim Berta z nierównie spokojniejszém sercem, niż miała, udając się w tę wędrówkę

Nazajutrz odjechał Fergus Maccarthy. Łucyja pożegnała go z płaczem, wisząc mu się boleśnie u szyi, jak gdyby przeczuwała, iż swego rodzonego brata po raz ostatni widzi. Fergus złożył ją w ramiona Berty i rzekł: „Oto twoja siostra— Bóg z wami!" — Poczém wsiadł szybko na konia, i w kilku chwilach zniknął poza krzemienistémi wzgórzami, otaczającémi zamek Glencarthy.

Zaledwie parę dni upłynęło, opowiadał wracający z polowania strzelec zamkowy, iż rozeszła się pogłoska o wylądowaniu pretendenta, i że ztąd wielkie poruszenie między goralami powstało, i mnóstwo ich już pod jego chorągwie się garnie.

Kora na starym jasionie była zawsze jeszcze nietknięta, a Berta radowała się mimowolnie każdego poranku, gdy się żaden znak nie pojawił. Tak upłynęło znowuż dni kilka.

Jednego poranka ujrzała Berta krzyż na jasionie; stał on prosto, a pod nim były dwie dziurki wyrznięte. W niespokojném oczekiwaniu upływał Bercie leniwy czas do wieczora. Powoli zaszło słońce, nadeszła noc, wreszcie i północ.

Łucyja udała się na spoczynek, również jak i czeladź zamkowa. Wszędzie było cicho i spokojnie. Berta wzięła klucze, zaświeciła latarkę, ogarnęła się w swój szkocki płaszczyk, i nie bez niejakiéj trwożliwości wyszła w swą samotną wędrówkę.

Była to noc ciemna bez księżyca i gwiazd; kilka tylko bladych światełek lśniło się na niebie, a i te wkrótce za chmury utonęły. Wszedłszy do kaplicy uczuła dreszcz lekki, bo, jakto Maccarthy jéj przepowiedział, zaczęło zaraz kilka nietoperzy wkoło niéj krążyć; te małe, szkaradne poczwary ścigały się w nieustannéj pogoni skróś światłokręgu bijącego od latarki. Nie mogła się też Berta powstrzymać, aby nie spojrzała niekiedy poza siebie, gdzie jéj, od podłogi aż pod sklepienie rozpościerający się cień, podobny okropnemu straszydłu, prześladować ją się zdawał. Lecz śmiała dziewczyna nie utraciła przeto przytomności umysłu, i nabrawszy nowéj odwagi, postąpiła pewnym krokiem przez ogród ku wnijściu do wieży. Tu stał oczekiwany posłannik, rosły, kształtnie zbudowany mężczyzna, w zarzuconym przez ramię płaszczu goralskim, w oznaczonéj przez Fergusa postawie. Berta zwróciła latarkę ku niemu, przezco mu światło prosto na piersi i złożoną na niéj rękę padło. Twarz została w półcieniu, którego Berta, mimo wszelkiéj swéj ciekawości, bliżéj latarką oświetlić nie śmiała. Ztém wszystkiém nie uszło jéj baczności, iż dwoje pięknych niebieskich oczu uważnie w nią się wpatrywało, gdy sobie obopólnie hasło podali. Poczém nie zatrzymując się dłużéj, wbiegła odważna dziewczyna po kręconych schodach do wieży, i dostawszy się do podziemnych sklepień, podniosła bez wielkiego natężenia zwodzone drzwi w podłodze, weszła w głąb, odemknęła skrzynię, dobyła z niéj dwa worki, i znowu zamknąwszy ją, i nkryte drzwi spuściwszy; pospieszyła nazad na górę do niemego Fergusowego wysłańca. Wtedy dopiero nabrała śmiałości przypatrzeć się dokładniéj jego twarzy, lecz on odwrócił się z ukłonem, a nawet, jak się jéj zdało, z westchnieniem tak spieszno, iż tylko przelotny widok pięknego, szlachetnego profilu dojrzeć mogła. W téj saméj chwili zaszeleściały suche chwasty ogrodowe, nieznajomy zniknął w zaroślach, a Berta wróciła do swéj sypialni.

Niedługo potém rozległ się w ustronnéj dolinie Glencarthy pierwszy zwycięzki okrzyk goralów szkockich. Obiedwie opuszczone przyjaciołki usłyszały z radością o pierwszéj wygranéj Stuartów, o klęsce czyli raczéj ucieczce Anglików pod Prestonpans. Maccarthy nie należał do kilku nielicznych ofiar tego łatwego, niekrwawego zwycięstwa.

Upłynęło znowuż kilka tygodni, i znowu pojawił się na korze jasionu prostopadły krzyż poniżéj poprzedniego, z dwoma dziurkami pod spodem. Prawie bez wszelkiéj bojaźni, ale nie bez pewnego przyjemnego oczekiwania — tęsknotą tego jeszcze nazywać nie możemy — podjęła Berta swoję nocną wędrówkę, i odbyła ją równie spokojnie i milcząco jak po raz pierwszy. Niemy posłannik Fergusa miał przewiązkę przez pół twarzy, zapewne na pamiątkę potyczki pod Prestonpans, i tylko jedném niezasłoniętém okiem powitał przyjaźnie ładną uczestniczkę tego tajemniczego zejścia, ukłonił się

z uszanowaniem, przycisnął rękę jeszcze mocniej do piersi, i zniknął.

Nadeszła zima. Bezpośrednio nic nie było słychać o kapitanie Maccarthy; atoli z boku dochodziły wieści, iż on bawi w Edymburgu na dworze lekkomyślnego Edwarda, który w zaślepionem zazaufaniu w swoje szczęście, oddawał się wszelkim uciechom i rozrywkom, jakich tylko zupełnie odniesione zwycięztwo mogło mu było dozwolić, podczas gdy jego główni nieprzyjaciele, w cichości pewny upadek mu gotowali.

Tak nadeszła i wiosna Obie nieprzyjacielskie strony uderzyły na się pod Falkirk. I tym razem zwyciężyli Szkoci, chociaż z małym pożytkiem narodowej sprawy, która tak niedołężnego miała dowódzcę. Wkrótce po nadejściu tej wiadomości do zamku Glencarthy, okazał się na jasionie krzyż trzeci z ostatniemi dwoma dziurkami.

Dzień był bardzo gorący. Po nadzwyczajnym skwarze nastąpiła ciężka parność w powietrzu. Za górami doliny zamkowej gromadziły się groźnie czarne chmury, lecz dopiero późno, około północy, wybuchła burza. Gdy Berta przez kaplicę przechodziła, zaczęło się przeraźliwie łyskać, tak, że co chwila cała kaplica jakby w ogniu płonęła. W oddali rozlegał się głuchy łoskot przeciągłych grzmotów. Maryja wzdrygała się mimowolnie i spieszyła ku tajemniczej wieży. Znajomy człowiek stał tam już wsparty o ścianę. Lekkiém skinieniem powitała go Berta, i weszła do sklepienia. Dobywszy tam rychło ostatnich dwóch worków, wróciła nazad, i w milczeniu obcemu je oddała. Ten jedną ręką wziął worki, a drugą doręczył Bercie list zapieczętowany z napisem: »Do Panny Berty Davy; otworzyć w wiadomém sklepieniu.»

Tymczasem burza coraz bliżéj groziła, błyskawice pałały coraz jaskrawiéj i płomieniściéj, gromy odzywały się coraz łoskotniéj i trzęsły brzękającemi w oknach szybami. Berta spojrzała w oczy posłannikowi i wskazała na gorejące niebo; lecz ten, zrozumiawszy dokładnie znaczenie jéj skinienia, ukłonił się głęboko, złożył rękę na sercu, i szybko wybiegł w burzę północną.

Berta wróciła z otrzymaném pismem do sklepu, i natychmiast je otworzyła. Na wierzchu leżał list do niéj od Maccarthego, który jéj za tak wielki dowód wierności i milczenia dziękował, i oraz siostrę swoję polecał; następnie prosił ją, załączony opieczętowany dokument, zawierający imiona sprzysiężonych stronników Stuartowskich, włożyć do próżnéj teraz skrzyni. „Czeka nas walna bitwa"— kończył kapitan — »los jéj bardzo wątpliwy; w pomyślnym razie, będę wiedział gdzie szukać tego pisma; w przeciwnym zaś razie, zostanie tym sposobem wiele imion nieprzyjacielowi utajonych, i wiele szlachetnéj krwi się oszczędzi; jeżlibym zginął, tedy możnaby łatwo znaleźć przy mnie tę ważną tajemnicę. Dla tego ukryj ty ją, droga *miss* Berto w znaném ci miejscu — pamiętaj o Łucyi — i żegnaj, może na wieki!»

Podczas odczytania tego listu i dopełnienia zawierającéj się w nim prośby, zawrzała burza właśnie nad samym zamkiem; lecz w podziemném sklepieniu nie było tego słychać. Gdy jednak Berta latarkę wzięła, i wracać miała, ozwał się jakiś nagły, gwałtowny łoskot, i okropne przeszyło ją przeczucie. Pobiegła czémprędzéj na górę i zastała drzwi do sklepu — zapadłe! Tém przerażona, zachwiała się, opuściła latarkę, i padła zemdlona na schodki. Lecz to nie długo trwało. Opamiętała się szybko, wstała, i oparła się plecyma i karkiem przeciw drzwiom zapadłym, chcąc je podnieść; lecz daremnie; drzwi przemogły wszelkie usiłowania, i można było równie bezskutecznie górę chcieć podnieść! Napróżno szukała w nich przy świetle podniesionéj latarki jakiéj szczeliny, jakiego ukrytego goździa, lub czegokolwiek, coby do odważenia ich posłużyć mogło —, ale bezskutecznie! Grobowe to wieko przylegało tak szczelnie i mocno, iż trzeba było stracić wszelką nadzieję podniesienia go własną siłą. Umyśliła więc wołać, co jéj sił stanie, jednakże przypomniawszy sobie, iż teraz północ, i że do tego w zupełnie pustéj i odległéj części zamku się znajduje, umilkła i uznała za lepsze, czekać, aż dzień nastanie.

Teraz wróciwszy nazad do podziemnego sklepu uczuła całą okropność i grozę swojego położenia:— być żywcem pogrzebaną!— Myśl o śmierci, nie ma dla zdrowego człowieka zupełnie porażającéj, zabijającéj okropności i mocy, lecz być żywcem pogrzebanym! na to wzdryga się natura ludzka, to najmężniejszy umysł, okropną trwogą przejmuje.

Wszelakoż nawet w paszczy pożerającéj śmierci, nadzieja nie odstępuje dzielnego umysłu; a jeźli tu na ziemi dla zbawiennéj kotwy ocalenia, gruntu nie staje, natenczas wznosi się ona w niebo na promieniu ducha. Berta padła na twarz, i modliła się z gorącą skruchą, lubo nie bez drzenia, do tego, dla którego każdy grób otworem stoi, a nawet ciemna noc śmierci, słoneczną jest światłością!— Jakoż pokrzepiona na duchu, wstała biedna od modlitwy, i usiadła na skrzyni obok latarki, z uczuciem, podobném do tego, z jakiém skazany na śmierć potępieniec, na własnéj trumnie usiada.

Wszakże nie długo mogła w tym półmartwym stanie pozostać. Niepokonana niespokojność gnała ją do nowego usiłowania. Wybrawszy klucz największy, doświadczała drzwi nim podważyć; lecz zawsze nadaremnie; nic to pomódz nie mogło! Zeszła tedy znów na dół — ale niestety, światło w latarce juz dogorywało! Płomyk wzniósł się i opadł,

jak żywotna siła w zamierającém ciele; i wnet już miała wieczysta ciemność nastąpić — światło ziemskie miało na długo wcześniéj przed światłem duszy zagasnąć!

Z niemą zgrozą wlepiła teraz w coraz bledziéj i bledziéj niknące światło swe osłupiałe oczy, aż nareszcie ostatni jego połysk zamarł, a wraz okropna, i nieprzeniknona otoczyła ją ciemność! Samotna, niewidziana, niesłyszana, bez najmniejszéj nadziei, pozostała teraz w głębokim podziemnym zagrzebana grobie!

Okropna, niewysłowiona, wstrząsnęła nią trwoga! Puls życia zamilkł, ruch myśli zmartwiał! — Przez długą chwilę stała jak z głazu. — Jednakże zwolna, zaczął duch oddziaływać na czucie, a czucie przenikać jéj członki. Jakby mdła iskierka z ciemnego punktu, wyronił się promyczek wiedzy, i rozbłysnął w opamiętanie; ale niestety, z nim wróciła świadomość okropności, w któréj zostawała! Na nowo obleciała ją trwoga, ruszyła ją z miejsca i pognała ku schodom; rozpacz, obłąkanie, przestrach, natężały jéj siły. Wyszła pod lukę sklepienia. — Po wypaleniu się światła mogła obliczyć, że już dzień na górze być musiał. Zaczęła bić pięściami o żelazne drzwi w luce i krzyczeć co jéj siły stało; ale nadaremnie. Głos i siły ustały, a nikt jéj nie słyszał, nikt nie odpowiadał! Wszelka nadzieja zginęła! Padła na kolana, i zaczęła się modlić; prosiła Boga gorącémi, rzewnémi łzami, o spieszne, miłosierne zbawienie! — Chwiejąc się, zeszła znowu w dół po schodach, zakryła sobie głowę *pledem* i legła w ciemnym grobie, oczekując miłosierdzia śmierci! Wysilona fizycznem natężeniem, wylękniona okropnémi myślami, wkrótce usnęła; brat śmierci, bole kojący sen, otoczył jéj zmysły, i wziął ją w swoje omglewające objęcie.

Jak długo w téj szczęśliwéj bezświadomości zostawała, tego sama dokładnie oznaczyć nie mogła; lecz musiało to trwać dość długo, gdyż przebudziwszy się, uczuła nieszczęśliwa dwie nowe katusze — głód i pragnienie! Tą okropnością przerażona, zerwała się w rozpaczy, poleciała bez zmysłów do drzwi zapadłych, i długo jęła wołać, krzyczeć i stukać z całém natężeniem trwożliwego szaleństwa, aż póki zakrwawione, znużone, bezwładne ręce, nie opadły bez czucia.

Wtedyto wszystkie okropności, jakie zdawna o pogrzebaniu żywcem słyszała, stanęły jéj na myśli; zaczęło jéj iść w pamięć: jak ci nieszczęśliwi żywo — umarli, z głodu kawałki ciała sobie wściekłym zębem wyrywali, jak swoję własną krew ssali, aby tak podwojoną męczarnią, okropny byt swój przedłużyć; jak sobie rękę w krtań wpychali, by się zaduszeniem, okropnego życia pozbawić! Témi straszliwémi obrazami miotana, zaczęła uczuwać przystęp szaleństwa, biegała od ściany do ściany, uderzała boleśnie o żelazną skrzynie, wychodziła znowuż ku drzwiom, krzyczała i stukała tam tak długo, aż nieszczęsna, bez zmysłów na schodach padła.

Żadnego ratunku. Już też ona nie błagała o życie, które miała za stracone, ani o śmierć, któréj była pewna; ale błagała o spokój duszy, aby z chrześcijańskiém przygotowaniem, ostatniéj chwili wyczekać. Zeszła powoli do grobowego sklepu, z którego już nigdy powrócić nie myślała, usiadła na najniższym stopniu, i osłabiona oparła w tył głowę. Zaczęła całe swoje krótkie życie rozpamiętywać, modliła się w pokorze ducha o przebaczenie wszelkich świadomych i nieświadomych grzechów swoich, poleciła Bogu duszę, wzdéchała do łaski Ojca i nieprzebranéj miłości Syna!

Długi sen, czyli raczéj omdlenie, ukoiło jéj cielesne i duchowe katusze. Ale podczas gdy ona spała, czuwało nad nią oko miłosiernéj opatrzności, a przypadek, to ślepe narzędzie jéj ocalenia, było już w ruchu.

Właśnie po wyprawieniu swojego poufnika z owym ważnym dokumentem do rodzinnego zamku, otrzymał kapitan, a teraz już pułkownik Maccarthy, rozkaz przedsięwzięcia podjazdu w téj okolicy. Stanąwszy z swym pocztem téjże saméj nocy — kiedy Berta przez nieostrożność swoję, przymkniętą została — o kilka mil od Glencarthy; doznał jakiéjś nadzwyczajnéj niespokojności, jakiéjś niezwykłéj tęsknoty! Zdało mu sie, iż powinien korzystać z téj sposobności, aby swojéj jedynéj siostrze ostatnie zanieść pożegnanie; przeczuwał, iż jéj nigdy już nie obaczy, i że, jak się późniéj wyrażał, na zamku coś nadzwyczajnego się wydarzyło. Skoro więc ranek rozświtał, poruczył podrzędnemu oficerowi komendę, i pospieszył najkrótszą drogą do zamku, gdzie też nieco z południa przybył, — i zastawszy wszystkich w najwyższéj trwodze, dowiedział się, że *miss* Berta bez śladu i wieści zniknęła, że jużto drugi dzień od czasu jéj niebytności upływał, a wszystkie środki odszukania jéj w zamku i w okolicy były daremne. Skoro pułkownik Maccarthy to usłyszał, zaraz mu przyszło na myśl, iż Berta niezawodnie w sklepieniu zamkniętą być musi; ale częścią aby tajemnicy nie zdradzić, częścią aby lękliwéj Łucyi nie zastraszyć, rozesłał jeszcze raz wszystkich domowników po okolicy, a sam udał się z bijącém sercem do wieży. Jakoż w istocie ujrzał drzwi spuszczone, czyli raczéj srożącą się owéj nocy burzą zatrzaśnięte, a wszystkie szyby w oknach arkady wytłuczone. Czémprędzéj podniósł drzwi, i przy blasku latarki postrzegł u spodu na schodach goralski płaszczyk Berty, w który ona jak w grobowe prześcieradło się owinęła, »Wielki Boże!« zawołał z przestrachem — »zginęła! Przezemnie zginęła!« — Ale ona żyła jeszcze! Odemknięcie drzwi

w podłodze nie doszło jej zagłuszonych uszu, lecz blask latarki, połyskujący w ciemności, zadrasnął wzrok jéj. Rozwarła oczy, i ujrzała swego oswobodziciela w górze na schodach. Takiego zapewne uczucia doznają mieszkańce grobu, gdy trąba ostatecznego sądu kiedyś z długiego snu do życia ich obudzi, i promień wiekuistego światła, w ciemny przybytek śmierci ześle!

Maccarthy zbiegł spieszno po schodach i pochwycił omdlewającą z nagłéj radości dziewczynę w swoje objęcie. Skropił jéj zimną, bladą twarz kilką kroplami ze swojego polowego bukłaku, wlał jéj kilka kropel w usta, i wnet też ocucona, przyszła do siebie.

Łatwo sobie wystawić, jak rzewnémi łzami radości, niebieskiemu i ziemskiemu wybawcy za to niespodziane ocalenie, dzięki składała. Dla zachowania tajemnicy, zmyślono bajkę, któraby tak długą niebytność Łucyi wytłumaczyć mogła, i któréj też uradowana jéj powrotem przyjaciołka, z łatwością uwierzyła.

Pułkownik Maccarthy został tylko przez noc w zamku, poczém pożegnawszy się czule z Łucyją i Bertą, wrócił gdzie go los i powinność wzywały.

Zaledwie czternaście dni upłynęło, gdy Berta, oglądając po zwyczaju korę starego jasionu, ujrzała na nim pochyły krzyż wyrzezany. Byłoto znakiem, iż Maccarthy zginął. Przestraszona tą pewnością, przygotowała Łucyję, jak mogła najłagodniéj, do powzięcia téj smutnéj wiadomości, i powiodło się jéj rzeczywiście, oswoić biedną siostrę z myślą téj ciężkiéj straty. Ona zaś sama spodziéwała się otrzymać e północy bliższe o tém objaśnienie od poufnego posła, który zapewne znak ten zrobił, i bez wątpienia w wiadomém miejscu schadzki czekać ją będzie.

Z piérwszém uderzeniem dwunastéj godziny, pospieszyła Berta do wieży. Znajomy milczący przyjaciel już tam stał, mając lewą rękę w przewiązce. Po raz piérwszy usłyszała Berta głos jego. Wiadomości, które przyniósł, były bardzo smutne. »Nasz spólny przyjaciel« — rzekł on z głębokiém westchnieniem — »przelał krew swoję na dolinach Kullodeńskich. Wszystko stracone; wojsko nasze w rozsypce, Karol Edward pierzchnął. Ja sam raniony i wywołany, schroniłem się tutaj, prosząc o gościnny przytułek.«

»Znajdziesz go»— odpowiedziała Berta, roniąc łzy po zmarłym lecz zapewne i pozostałym, żyjącym przyjacielu. — »W tym zamku jest bezpieczna kryjówka, gdzie cię rycerzu żadne oko ludzkie odkryć nie zdoła... Chciej pójść za mną.«

Berta zaprowadziła rannego wywołańca do sklepienia, zachowując jednakże wprzód tę ostrożność, aby zwodzone drzwi, do kraty w oknie przymocować. Następnie podzieliła się z nim swojém światłem, a w nocy przyniosła mu pościel i żywność, jako też maść i zawiązkę na rany. Późniéj zaopatrzyła go książkami, przyrządzeniem do pisania i taburecikiem; skrzynia musiała mu za stół służyć.

Tak spędził Szkot dwa miesiące w tém podziemném sklepieniu, lecz ono stało mu się rajem, gdyż w Bercie znalazł swoją Ewę. Gdy pobojowisko a późniéj rusztowanie, dość już ofiar w przebłaganie obrażonego majestatu Jérzego II nabrało, gdy srogi Cumberland na dwór brata swego powrócił — nastąpiło powszechne ułaskawienie. Przyjaciel Maccarthy'ego ożenił się z Bertą Davy, a Łucyja, miała u nich do śmierci miłą gościnę.

Wiadomości literackie.

Ze Lwowa: *Tygodnika rolniczo-przemysłowego* T. W. Kochańskiego wyszedł nr. 45ty i zawiera: 1) Nawóz traci wiele na mocy przez wyługowanie wodą deszczową; 2) O terminologii używanéj w oznaczeniu różnych własności owiec, runa i wełny. (Przez K. W. Jeppe.) 3) Wiadomości handlowe i przemysłowe.

Podbicie Algieru przez Francuzów, jest ciekawym przykładem, jak nieraz stosunki historyczne dziwnie się rozwijają i nowe kształty biorą. Tunis i Trypolis już teraz prawie do rzędu państw nie należą, a jako państwa korsarskie, wcale ich nie masz. Zawdzięczamy to Francyi. Wyprawa francuzka do Afryki, musi tak wielką zmianę w sposobie myślenia, i działania tamecznych dzikich mieszkańców sprawić, iż wszelkich skutków onéj, jako też i potrzebnego ku temu czasu, teraz jeszcze ani przewidzieć ani obliczyć nie możemy. Ale cóż było właściwie powodem do téj wyprawy? Tego już dziś nikt nie pamięta. Oto w latach 1793, 1794 panowała wielka drożyzna we Francyi. Europa była wówczas tak nieprzyjazną Francyi, iż z poduszczenia Pitta, powzięto myśl szaloną, Francyję głodem wymorzyć. Francuzi śmieli się z tego, i sprowadzali sobie zboże z przeciwległych wybrzeży afrykańskich. Ich machlerzem był pewien Żyd, Nathan Bakri, który jednakże dopiero w roku 1819 należącą mu się sumę dwóch milijonów talarów od rządu francuzkiego otrzymał, ale ani grosza z tego własnym algierskim wierzycielom nie zapłacił, lecz owszem przeciwnie, w francuzkich posiadłościach osiadł, i tamże umarł. Nato dej algierski zażądał od Francyi albo powtórnéj wypłaty, albo wydania mu syna owego oszusta. Piérwszego nie mogła Francyja uczynić, a drugie sprzeciwiało się europejskim wyobrażeniom słuszności. Odesłano więc deja do drogi prawa. Miast tego uderzył dej francuzkiego konsula wachlarzem w policzek — a tak w skutek drożyzny z roku 1793, wynikłéj ztąd blokady handlowéj, daléj oszustwa żydowskiego, i policzka algierskiego, przyszło nakoniec do tego, iż północna Afryka w nowy wiek historycznego bytu wstąpiła.

Lord Rosse i księżyc. Znowu jednę poetyczną złudę nam wydarto, ostatniéj odrobiny poezyi nas pozbawiono! Lord Rosse zbudował olbrzymi teleskop, za pomocą którego może widzieć na księżycu wszelki przedmiot, mający sto łokci wysokości, a zatém wszystkie wielkie wieże, budynki, miasta. Wszelako nie odkrył on nic innego, jak tylko skupisko wytlonych wulkanów, bez powietrzni, roślinności i t. d. A zatém nie mieszkają tam już błogie dusze zmarłych, którémi fantazyja poetów, jasną krainę księżycową oddawna zaludniła — nie masz tam nic, prócz martwéj, głuchej pustki, a cały księżyc, jest tylko nieforemną meteorową bryłą, w któréj może po tysiącach lat, po rozlicznych metamorfozach, niejakie życie się wykluje. — Ach, te suche, ścisłe umiejętności, ileż one nam poezyi już nie wydarły! Jużto niezadługo w romansach i na scenie, do tego przyjdzie, że rozpaczający kochanek, jeżli się taki jeszcze znajdzie, nie prochem, ale kawałkiem — waty, w łeb sobie wypali!

Włoska, niemiecka i francuzka muzyka. Anglik Lunn wydał dzieło pod napisem »*Musings of a Musician*«, w którém następującą charakterystykę trzech głównych szkół muzycznych czytamy: »Przeważająca

w dawnych kompozytorach spiewność, czyli tak zwane *cantabile*, i ognisty, jak wino szampańskie pieniący się styl Rossiniego i naśladowców jego, odpowiadają najwłaściwiéj płomiennej wyobraźni Włochów. — Niemiecki zaś kompozytor, wyższy cel sobie zakłada. Nie przestając na stylu słodkiego, włoskiego *far niente*, bierze się rozumowo do rzeczy, i uważa muzykę za potężną, ogólnie zrozumiałą mowę, która najszlachetniejsze uczucia wyrazić zdoła. Już przy piérwszém słyszeniu może się nam taka kompozycyja podobać, atoli za drugim i trzecim razem, odkrywamy w niéj piękności, które przy piérwszém słyszeniu, uwagę naszę minęły. Podziwiamy wyrazistą melodyję i nawalną instrumentacyję, i czujemy się pod wpływem niezwykłéj potęgi. Jestto poezyja tonów, a utwory Mozarta, Beethovena, sąto poemata epiczne. Nie ma w nich pieściwéj, ponętnéj melodyjności włoskiej; lecz jest za to wymowa i treściwość myśli. — Zupełnie odmienną jest szkoła francuzka. Tam »*Vive la gaerre et vive la danse!*« zdaje się być hasłem kompozytorów, i *wojna* też i *taniec* są u nich dwoma głównemi myślami. Jestto szkoła tańcu wojennego. Równie jak najdobroduszniejszy mieszczanin w służbie gwardyi narodowéj straszne znamiona wojny codziennie dźwigać musi, tak też i najspokojniejsze chwile muzyki francuzkiéj, bywają często werblem tarabanów albo zabrzmiewającym zdala marszem wojskowym przeplatane. Ten duch wojny i tańcu, przebija tak wyraźnie w jednej ulubionéj operze francuzkiej, iż znajdujące się właśnie na scenie wojsko, jednocześnie broń na bok składa, i w zupełnéj paradzie marsowéj, *pas des soldats* tańczy. — Melodyje kompozytorów francuzkich mają zawsze coś pobudzającego i rozbudzającego w sobie, lecz są oraz tak miłe i ujmujące, że nawet ten, kto zupełnie temu rodzajowi muzyki jest przeciwny, utworów Aubera z przyjemnością słucha.«

Łowienie dzikich kaczek. Wiadomo wszystkim myśliwym, jak ostrożne i płoche są dzikie kaczki, i jak trudno jest, na strzał je podejść, jeźli szczególne miejscowe okoliczności temu przypadkiem nie sprzyjają. Wszakże w niektórych okolicach, jak mianowicie na rozległych błotach w Szwecyi, znają myśliwi równie prosty jak oryginalny sposób łowienia dzikich kaczek. Na brzegach jezior, kędy kaczki dla żeru pływać zwykły; rzucają tameczni mieszkańce kilka dużych wydrążonych arbuzów, z których widokiem kaczki wkrótce tak dalece się oswoją, iż się do nich bez najmniejszego podejrzenia zbliżają. Gdy to nastąpi, włazi myśliwy w wodę, zasadza sobie taki wydrążony i dwoma dziurkami na oczy zaopatrzony arbuz na głowę, i sunie tak bezpiecznie pomiędzy kaczki, które zpod wody za skrzydła chwyta i szybko w głąb zanurza. Reszta kaczek, mniemając iż ułowione towarzyszki same się zanurzyły, nie daje się tém przestraszyć, a tak prostym sposobem, może jeden myśliwy w sierpniu za jedynym połowem około 30—40 kaczek złapać, które pod wodą na silce wokoło pasa wiesza. Zdarza się nieraz, iż pojedyńczy myśliwy wyżopisanym trybem, w przeciągu jednego lata, po 400 sztuk łowi.

Wnuk swoim własnym dziadkiem. Jest taki wnuk w Angli w Norwich. Rzecz ma się w następujący sposób: Pewna wdowa z pasierbicą mieszkała w sąsiedztwie pewnego jegomości z synem. Wdowa poszła za mąż za syna, a pasierbica za ojca. Przeto została wdowa matką ojca swojego męża, a zatém i babką własnego męża. Z małżeństwa tego urodził się syn, którego matka była tedy oraz jego prababką. Ponieważ syn prababki koniecznie rodzonym lub przyrodnim dziadkiem być musi, dla tego jest ten wnuczek swym własnym dziadkiem.

Stary aktor kochankiem na scenie. Sławny artysta dramatyczny Baron, przedstawiał jeszcze w 80tym roku życia rolę Rodryga w dramacie Rasyna »Cyd.« -- — Angielski aktor Macklin grywał jeszcze w 100m roku Szyloka w Szekszpirowskim »Kupcu weneckim.« Umarł w roku 1797, w 107 roku życia.

Smutna rzecz ale prawdziwa. Słynna tancerka Cerrito wraz z swoim mężem pobiera 150 dukatów za każde przedstawienie. Takąż właśnie nagrodę oznacza zwykle akademija umiejętności za rozwiązanie trzech osobnych zadań konkursowych, to jest zadania matematycznego, prawniczego i filozoficznego. Rozwiązanie to wymaga 3 głów i kilkomiesięcznej pracy, podczas gdy cztery nogi pomienionej pary w pół godziny toż samo zarabiają. — Oto także mały przyczynek do zbioru ciekawych osobliwości naszego wieku.

Skąpiec. Przed kilkunastą dniami umarł w Dyseldorfie stary fryzyjer, który powszechnie ze swego ubóstwa był znany, i z całą rodziną najsroższą nędzę cierpiał. Jeszcze na łożu śmiertelnem wyprosił on od dysponującego go na śmierć kapłana talara jałmużny dla siebie i swoich dzieci. Jakże się więc zdziwiono, gdy po jego śmierci, w staréj, zawsze starannie przezeń chowanéj skrzyni, odkryto przeszło 7000 talarów gotówką, poczęści jeszcze w starej monecie. Więcéj niż 50 lat składał on w głodzie i nędzy tę sumę, lękając się nawet na lichwę ją wypożyczyć. Jakże ciężką boleść musiało mu rozstanie się z tym mamonem w godzinie śmierci sprawiać!

Oko śklanne. Niedawnemi czasy wystąpiła niejaka pani Pluette jako oskarzona przed sędzią pokoju w Neuilly. Pani Pluette bawiła się z swoim ulubionym pieskiem, a ten jéj w żarcie, prawe oko wydarł. Pewien przekupień, handlujący różnémi towarami, a między témi i oczami śklannemi, sprzedał pani Pluette jedno oko za 100 franków. Atoli ta nie chciała mu później zapłacić, i została o to zapozwaną. Na zapytanie sędziego oświadczyła jednooka, iż ją oszukano, ponieważ nie może widzieć kupionem okiem. Nadaremnie tłumaczono jéj, iż oko śklanne nie na to jest, aby niem widzieć, lecz aby się w niem dać widzieć. Pani Pluette odwoływała się do swoich fałszywych włosów, które jéj te same usługi czynią, co prawdziwe, dalej do swoich trzech wstawionych zębów, które jéj również są tąk użyteczne, jak były te, co straciła. Mimo to wszystko skazano ją na zapłacenie 100 franków. To przywiodło ją do takiej złości, że okiem śklannem o ziemię rzuciła, a sama śród powszechnego śmiechu wyleciała z sądowéj sali.

Redaktor Jan Nep. Kamiński. -- Nakładem Spadkobierców Franciszka Krattera.

Drukiem Piotra Pillera.